

— Sebastyan Blanc! — zawołali ajenci, wybuchając z kolei serdecznym śmiechem.

— Tak jest — odparł detektyw, błąd z wściekłości. — Jestem Sebastyan Blanc we własnej osobie i żądam, żeby mnie natychmiast zaprowadzono do pana Ducroc.

— Właśnie miałem to panu zaproponować — rzekł z drwiącym uśmiechem oficer.

Szef bezpieczeństwa pisał coś przy biurku w swym gabinecie, gdy stary Bernard wprowadził oficera policyi.

— No i cóż, Frouchet? — zapytał pan Ducroc, podnosząc głowę i patrząc na przybyłego z poza okularów. Jak się udała wyprawa?

— Złe, panie szefie. W szynku, który pan mi wskazał, była zebrana cała banda. Ale udało się im jakimś sposobem wymknąć. Osadziłem, co prawda, oba wejścia, ale muszą być inne, o których nie wiemy.

— Więc, ostatecznie, cała obława na nic! — zawołał szef gniewnie.

— Nie zupełnie. Udało nam się pochwycić człowieka bardzo podejrzanego, który zasłaniał towarzyszących odwrót z rewolwerem w rękę, strzelając do moich ludzi. Człowiek ten zaczął nam opowiadać takie historie...

— Przyprowadziliście go tutaj?

— Tak jest, proszę pana. Przypuszczałem, że pan szef zechce go sam wy badać, tembardziej, że oznajmił nam, iż pan...

— Dobrze, proszę go kazać wprowadzić — rozkazał p. Ducroc, przezywając raptownie mówiącemu. Dwóch agentów wprowadziło Sebastyana w kajdankach na rękach, ze związanymi nogami. Przez chwilę stał nieruchomo, wytrzymując bez mrugnięcia powieką badawczy wzrok pana Ducroc, który oglądał szczegółowo tego typowego opryszka.

— Imię i nazwisko? — zapytał wreszcie szef bezpieczeństwa krótko, starając się napróżno przypomnieć sobie, gdzie i kiedy widział tę twarz.

Sebastyan milczał, patrząc w ziemię i bawiąc się serdecznie tą komedią.

— Odpowiadaj!

— Jakto, nie poznaje mnie pan, panie szefie? — zawołał nagle, zdejmując perukę i fałszywą brodę.

Pan Ducroc podskoczył na swym fotelu, jakby podrzucony sprężyną.

— Sebastyan! — krzyknął ze zdumieniem.

Potem, zwracając się do oficera, który nie wiedział, co zrobić ze sobą — dodał gniewnie:

— Winszuję, Frouchet! Więc to ma być niebezpieczny bandyta?

Frouchet bąknął coś niezrozumiale. Dużo dałby za to, żeby być stąd daleko. Sebastyan zlitował się nad nim i pośpieszył z pomocą.

— Proszę mu darować, panie szefie — uratował mi życie. Gdyby nie zjawił się w czas ze swoim oddziałem, byłbym teraz pewno w Sekwanie.

— Jakim sposobem? — zapytał pan Ducroc, zdziwiony. Detektyw opowiedział szybko swą przygodę, która mogła się tak źle skończyć, gdyby nie niespodziewana pomoc policyi.

— Ale, co u licha pan robił w tej norze? — zapytał szef.

— Co tam robiłem? — zawołał Sebastyan zdziwiony z kolei. — Pan mnie o to pyta, panie szefie? Przecież to pan sam mnie tam posłał!

— Ja? Ja pana posłałem? — wykrzyknął pan Ducroc, nie posiadając się ze zdumienia.

— Naturalnie. Pisał pan dziś rano do mnie z tem poleceniem.

— Pisałem do pana? Nic podobnego. Gdzie ten list?

— Oto jest — rzekł oficer, znalazłszy list w kieszeni.

— Pismo doskonale naśladowane — rzekł szef, studiując uważnie list... — Ja sam mógłbym się pomylić... Ale to nie ja pisałem.

— Rozumiem teraz wszystko — rzekł Sebastyan, zastanowiwszy się przez chwilę. — To była zasadzka, zastawiona przez rudego mężczyznę, który przypuszczał, że się nie wymknę. Popsuła mu szyki policyi a gdyby nie pochwyciono mnie...

Oficer policyjny zagryzł wargi.

— Gdyby nie pochwyciono pana? — zapytał pan Ducroc.

— Byłbym pobiegł za nim i teraz może mielibyśmy go w rękę. Ostatecznie, trudno — co się stało — to się nie odstanie. Dostę, że znowu uniknąłem śmierci... To już po raz trzeci! Myślę, że za czwartym razem, nie uda mi się.

ROZDZIAŁ XX.

Często ma się pod ręką to, czego się szuka daleko.

— Naruszono pieczęci — rzekł nagle sędzia pokoju, przyjrawszy się przez lupę sznurkom i pieczęciom, które sam przyłożył przed trzema miesiącami nu drzwiach mieszkania Bridgetona przy ulicy Cambon.

— Naruszono pieczęcie! — powtórzyła jak echo pani Rouve, odzwierna — podnosząc z przerażeniem ręce.

— Niech pan spojrz, panie Florent — zwrócił



Gdy Sebastyan wszedł — rozmowy, kłótnie, krzyki i śpiewy umilkły odrazu.

się sędzia do swego pisarza, nie odpowiadając odzwierniej.

— Nie ulega wątpliwości, panie sędzio — odrzekł pisarz, przyjrawszy się pieczęciom.

— Do licha! To widać, patrząc nawet gołym okiem. Dostrzegłem to odrazu. Przez lupę można poznać, że moja pieczęć jest podróbiona.

Zwracając się do pani Rouve — urzędnik rzekł surowo:

— To może być przykre dla pani! Nie zrywano tych pieczęci i nie podrabiano ich dla prostego żartu. Ktoś tu musiał wchodzić...

— Ale to niemożliwe, panie sędzio — zaprotestowała pani Rouve z oburzeniem.

— Niemożliwe! Zawsze pani tak mówi. To samo pani twierdziła wtedy, jak znikł ten Anglik, który tu mieszkał. No — proszę otworzyć drzwi. Zaraz się dowiemy, o co chodzi.

Zrewidowano szczegółowo całe mieszkanie. Obejrzano wszystkie szafy, komody, biurka, opieczetowane przez sędziego. Wszystko było w porządku i pieczęci nie naruszono. Pozostawała do zrewidowania szafa, stojąca w sypialni.

— Ach! — zawołał sędzia z tryumfem... — byłem tego pewny! — I wskazał palcem na sznurki

przy drzwiach, — tu nie zadawano sobie nawet trudu podrabiania pieczęci.

— Tam mieści się sekret — dodał w najwyższym podnieceniu. — Proszę otworzyć, prędzej! Zaraz zobaczymy! — Odzwierna, błądą ze wzruszenia, kilka razy starała się napróżno włożyć klucz. Wreszcie usłyszano trzask zamku i lekkie skrzypnięcie zawiasów. Ale w tej chwili pani Rouve wydała przeraźliwy okrzyk i padła na ziemię, zamknąwszy przedtem gwałtownie drzwi od szafy.

— Co? Co takiego? — zawołali obaj mężczyźni, którzy nic nie widzieli.

Śmiertelnie błądą i drżąc pani Rouve siedziała na podłodze i jęczała w najwyższym przerażeniu, pokazując palcem szafę.

— On! On! Tam!

— Kto? Co za on? — pytał sędzia, podchodząc do szafy.

— Nie, nie! Niech pan nie otwiera! To straszne! — krzyczała odzwierna, napróżno usiłując powstać.

Ale sędzia położył rękę na kluczu.

Wówczas pani Rouve wydała znowu przeraźliwy okrzyk, ukryła twarz w dłoniach, podniosła się z wysiłkiem i wybiegła z pokoju krzycząc:

— Na pomoc! Na pomoc! Mor-derca!

Prawie natychmiast wyszedł za nią i sędzia wraz z pisarzem, bardzo błądą, z trudnością panujący nad sobą. Otworzywszy szafę, ujrzeli stojącego ohydneho trupa we fraku, który patrzył na nich szeroko rozwartymi, nieruchomymi oczyma.

Był to Bridgeton...

Na schodach obaj urzędnicy dopędzili odzwierną, otoczoną mieszkańcami domu, zaciekawionymi i pragnącymi dowiedzieć się o przyczynach alarmu. Ale pani Rouve była pod tak silnym wrażeniem, że nie mogła dać wyjaśnień i odpowiadała jedynie monosylabami. Mimo to jeden z lokatorów zrozumiał, o co chodzi, wybiegł z domu i po kwadransie powrócił w towarzystwie komisarza policyi, pana Maugron, jego sekretarza i dwóch agentów. Jednocześnie tłum ludzi zgromadził się koło domu, ściągnięty wiadomością o strasznym odkryciu, która z szybkością błyskawicy rozniosła się po całej dzielnicy.

Dano też znać przez telefon panu Ducroc, który odpowiedział, że natychmiast przybędzie na ulicę Cambon wraz z sędzią śledczym. Mieli przywieźć ze sobą sławnego profesora Chantereine, z którym właśnie odbywali konferencję.

W oczekiwaniu na ich przybycie — urzędnicy policyi udali się do pokoju, gdzie znaleziono trupa nieszczęśliwego jubilera. Pan Maugron wobec tego strasznego odkrycia, które zdawało się być najbardziej zdumiewającym ze wszystkich potwornych sprawek Fabrykanta mumii, czuł się zachwianym w swych dotychczasowych przypuszczeniach i uważał za niezbędne zbadać sprawę osobiście. Nie chciał

wierzyć. Pragnął zobaczyć na własne oczy tego trupa, którego nie było w mieszkaniu podczas drobiazgowej rewizji, dokonanej zaraz po tajemniczym zniknięciu.

— Otwórzcie szafę — rozkazał agentom.

Wykonali ten rozkaz z pewną odrazą, potężną z przerażeniem, gdy ujrzeli potworną twarz trupa. Pani Rouve stała odwrócona, żeby tego nie widzieć. Komisarz przywołał ją.

— Czy pani poświadczają formalnie, że jest to lokator tego domu, Jerzy Bridgeton, który znikł 20 maja?

— Tak... tak... panie komisarzu — odpowiedziała przerażona kobieta, nie ruszając się z miejsca i instynktownie zasłaniając twarz rękami.

W tej chwili odezwał się dzwonek. Przybywał pan Ducroc wraz z profesorem Chantereine i sędzią śledczym, panem Charvet.

Komisarz pośpieszył na ich spotkanie. Po wymianie uścisków dłoni, szef bezpieczeństwa zapytał ze znaczącym skrzywieniem:

— No i cóż, panowie, znowu mamy brzydką sprawę?

(Ciąg dalszy nastąpi).